

GADANINA PRZESILENIOWA.

Witos legł na całą długość wójtowską, nie zdążywszy doczekać się rzeczpospolitego krawata, który ostatecznie został zaprzeczony (zakwestionowany) przez grupę brylo-plutowską. Rozgoryczony „Piast” miał na pociechę tylko to jedynie, że oczekiwać może powrotu do szeregów klubowych „tegi” głów” partyjnych: Witos, Rataja, Kiernika i innych, co plastowali teki ministerialne.

Zielony ze złości Witos doczekał się takiego afrontu, że mu jeden z jego ludzi powiedział: „zostaniesz się pan w klubie sam jeden z regulaminem...” Rzeczywiście paracelacja „Piasta” jest rzeczą dokonaną, wobec czego sprawa „osadnictwa” staje się tembardziej aktualna. Brył np. z Pluta osiedlili się na innym kurtyrzu sejmowym — i tych osiedleńców, czy przesiedleńców, jest już 14, a ma być jeszcze więcej, jeśli wziąć pod uwagę oświadczenia p. Bednarczyka, który grozi Witosowi nowym rozłaniem.

Trzeba było widzieć miny panów ministrów, którym na głowę, niezmierzając, z sejmowego nieba, spadł wymarsz „czternastu robotników”. Pan Kiernik „nie miał” twarzą. Przyjeżdżał, wyjeżdżał z „prezydium” do klubu i z powrotem i zaklinał na „Dofidy”, żeby nie łamać witosowej całosci.

Wszystkie Bobki latały jak baki, a brat Witos, Andrzej, który nie posiada zdolności „Wicka”, a jedynie lombrosozowo przypomina „człowieka”, którego zastępował w misjach „sondowania” opinii sejmowej — chodził, jak szutry, na pogrzebie familijnym, przewidując, że tegonocne światła nie będą w Wierchosławicach zbyt wesołe.

Powiadają nawet, że Witos boi się jeździć do domu, aby od „Jaluchy” nie dostał czego na gwiazdkę. Bełkotliwy. Pani premierowa jurna baba jest — i, co najważniejsze, ma silne „uderzenie” (knock-out) oczywiście na fortę. Bliżej kręcą się koło Witos, stwierdzając, że Wincenty ostatnimi czasy pograżył się w żytniowej Baczewskiego, jako że zawsze miał pociąg do zboża — i że wskutek tego „zalewania robaka” — niektóre ulice niektórych miast zostały „przez omyłkę” zalane krwią robotników i żołnierzy.

Ponieważ zaś skądś wiadomo, że nie tak nie kształci, jak podrożę — więc w cięższych chwilach Witos „podróżował”, a Korfanti umiejętnie go zastępował, przez co odpowiedzialność nie spadała bezpośrednio na pana premiera.

Postawiony w ciężkim położeniu Witos podał się do dymisji wraz z całym towarzystwem spółzawczym (8 plus 1). W sejmie zawrzało, jak w ulu miodonośnych pszczoł, co się zdecydowały przedsięwzięć trutników, rządzących jedynie na swa korzyść w przeciągu sześciu miesięcy, w ciągu których p. Kucharski zdołał nabyć, oprócz „wprawy” skarbowej, znaczną ilość „niepotrzebnego państwa” drutu kolczastego, a Witos zdążył otworzyć fabrykę w Sassowie (tym razem porcelany).

Prezydent Wojciechowski nie odrazu dymisję tę przyjął. Zanim się zdecydował na krok „naprzód” — odbył szereg rozmów z meżami parlamentu. Jakże były te rozmowy, świadczy o tem propozycja p. Wojciechowskiego: „Czyby się nie udało jednak zatrzymać ministra Kucharskiego?”

Targ w targ — misja została powierzona Thuguttowi. Thugutt rozpoczął od gabinetu fachowego. Potem spróbował parlamentarnego. Potem znowu posejmowego. Brał nazwiska. Brał Piłsudskiego, Grabskiego, Sosnkowskiego, nawet chciał Dmowskiego w imię „dobrej woli”, która jednak nie wystarcza, jak się okazuje, nawet przy załatwianiu Jaworzyny.

Trzy dni i trzy noce „rozmawiał” Thugutt z przewodnicami klubów. Schodził, schodził — i dał pokój — zakończywszy nieprze-

żeniem tę niewdzięczną gadaninę. Zaisie — niewdzięczna, Przewodnicą: różnica zdań we własnym klubie. Jedni chcieli, aby Thugutt premierując, wykorzystał polityczny kapitał „Wyzwolenia”. Drudzy odradzali, bojąc się o to, aby „Wyzwolenia” nie spotkał los „Piasta”. To ze swoimi ludźmi. A z nieswoimi: krzyż pański... (Judyty?) To np. chadki chcą rządu parlamentarnego, to nie chcą... To „Piast” idzie — to „nie idzie” na poparcie. To P. P. S. wstępuje do gabinetu — to znów się wycofuje.

Pan Korfanti np. traktuje z Thuguttem a nocami konferuje w sprawie „innego” gabinetu. Konferuje i ani na chwilę nie spuszcza oka z Ostrołęki i Płocka, gdzie ponoć zostały ześrodkowane „wierne” regimenty (regimenty).

Pan Witos w rozmowach z Thuguttem, robiąc aniola z suntu prowincjonalnego kościółka, zachowywał się zagadkowo, rzucał Pythia delfijską, na co Thugutt zareagował ostrym pytaniem: tak lub nie? I okazało się, że nie... Bo te wszystkie rezolucyjne „jeżeli” — „gdyby” — „o ileby” i t. d. — równają się odmowie.

Thugutt spotkał się, nieborak, z taką opozycją, że nawet taki lagodny człowiek sełmu, jak p. Hipolit Sławiński, dzięki jedynie pod względem klubowym, nadesłał stapięcykowatą depeszę ze Lwowa: „tatuściu, veto!”

Napisano szereg uchwał, rzucano sobie tysiące słów, stracono sporo czasu — i ostatecznie koncepcja „czystych ręk” upadła.

Jeden z obserwatorów życia politycznego ocenił to tak: „Thugutt jest doskonały na ławie posejskiej. Doskonały na trybunie. Dobry — jako przywódca opozycji, ale może nie posiada sztuki premierowania. Przedewszystkiem — brak mu umiejętności obcowania: odpycha i zraża... A to wielki brak. Proszę wziąć Piłsudskiego... Ten co innego: nawet największy jego wróg po godzinie obcowania z nim — był dla niego miłe usposobiony. Na to się trzeba urodzić...”

W czasie rokowań Thugutta w sejmie wrzało. Telefony i telegraf — pracowały. Kto? Będzie? Nie będzie? Dziennikarze „nie spali”. Dodatki nadzwyczajne pism — rozchwytywano, a złośliwi układali tymczasową listę tymczasowego fonetycznego gabinetu, w którym poseł Dobila miał piastować wojsko, poseł Głab — oświatę, a poseł Szpital — ministerstwo zdrowia, tym razem, publicznego.

— Czy wiecie, panowie — pytał ktoś — dlaczego „Piast” nie poprze Thugutta? — Dlatego, że postawił warunek kardynalny, nie wolno będzie kraść!...

W godzinę potem, gdy Thugutt, po zrzeczeniu się misji, ogłosił znaną deklarację, oświadczając, że nie chciał „rządu awantury” i że „niema mowy o zawieszeniu broni” — w godzinę potem w sejmie zjawił się p. Władysław Grabski, aby oznajmić prasie, że jest nowym misjonarzem rządowym, że utworzył gabinet fachowy, w którym zasiada ludzie zdolni do kierowania się sumieniem. Ta szybkość świadczy o sprawności obecnego Belwederu i o tem jednocześnie, że misja Thugutta była przesadzona z góry.

Lista gabinetu została przez prezydenta podpisana. Składa się ona z kooperatystów i członków „klubów rolniczych”, których nazwiska ustalano „po znajomości”. Ze prezydent wziął udział w tworzeniu, świadczy o tem choćby zachowanie się Grabskiego, który w rozmowie z przywódcą jednego z klubów powiedział: „Tego kandydata życzę sobie sam pan prezydent”.

Pan Władysław Grabski — jest człowiekiem cieszącym się prawdziwym szacunkiem nietylko wśród ekonomistów. Cenią go i na prawicy i na lewicy. Nazwisko

jego nie budzi specjalnej nienawiści, ale p. Władysław Grabski nie jest politykiem.

O Grabskich (Władysławie i Stanisławie), obu znanych z działalności społecznej, krąży w Polsce taka gadka:

— Jeden — powiadają — jest to wariat „na zimno” — i to właśnie Władysław. Drugi — „na gorąco” — i jest nim p. Stanisław, doniedawna minister oświaty.

Jakim „mocziwcem” politycznym jest Władysław, daje o tem pojęcie rozmowa jego z posełem koła żydowskiego, który, zaproszawszy przeciwko kandydaturze gen. Sosnkowskiego i wojewody Moskalewskiego, usłyszał z ust premiera co następuje:

— Nie wiedziałem, że te nazwiska są dla panów nie do przyjęcia...

Rzecz prosta, kołby się usmiał, a poseł Reich — tembardziej był ubawiony...

Bo kłóży się nie śmiał, gdyby np. P. P. S. oświadczył, że Korfanti na ministra sprawiedliwości...

Śmiech w polityce odgrywa wprawdzie rolę nieposłuszną — ale niezawsze. Zjawia się wtedy, gdy śmieje się tylko jedna strona. Gdy obydwoje — rzecz inna. Niedawno np. p. Korfanti, kokietując „zaliczkowo” kupców żydowskich, „wyznał im szczerze”, że mu nic „nie wiadomo” o tem, jakoby w Polsce żywcem animozję do... żydów (zwłaszcza kupców)...

Pan Grabski gabinet uformował. Większość tego gabinetu, to krewni polityczni „Piasta” i endecji. Dlatego też prasa chijska „korzy się” przed majestatem „konieczności państwowych”.

Pan Kiedroń (operator handlowy z ramienia „Piasta”), p. Noskowski (dyrygent strajku kolejowego), pan Sołtan i inni panowie — to sama „śmietanka” prawicy. Wyjątek stanowi załedwie gen. Sosnkowski, który „był w każdym gabinecie” i który uchodzi za „lewicowca” — aczkolwiek, bynajmniej, nim nie jest.

Zobaczmy co z tego będzie — i czy to długo będzie. W każdym razie — na święta wystarczą. I dlatego gabinet ten nazwałbyśmy gabinetem „świętecznym”.

Przypuszczając należy, że przyjdzie przecie kolej na gabinet „powszedni”. Kolej ta przyjdzie wówczas, gdy przegrupowanie liczb sejmowych stanie się czymś trwałym i kiedy lewica, zapomniawszy o „strachu przed władzą”, zdoła się na odwagę, aby stworzyć większość, która może nareszcie nie pozwoli na deptanie w Polsce tego wszystkiego, co zadeklarował wczorajszy niewolniczy pierwszy rząd robotniczo-włosciański, kiedy to „krwawą naszą gaszoną rozpalał się świat”.

Tadeusz Wieniawa-Długoszowski.

TOWARZYSTWO UBEZPIECZEŃ OD NIEPRZYJEMNYCH WZRUSZEŃ.

Jedno z amerykańskich towarzystw telegraficznych wprowadziło interesującą nowację. Dyrekcja uważa za swój obowiązek uprzedzanie swych abonentów o przykrych depeszach, oczywiście, by im nie sprawić zbyt wielkiego bólu.

Gdy więc w przyszłości do biur tego towarzystwa nadejdzie depesza z nieprzyjemną lub zgoła smutną wiadomością, to zarząd nalepi na niej czerwoną pieczętkę, by delikatnie uprzedzić adresata.

Ale istnieją przeoczyć ludzie, których sam widok pieczętki może przyprawić o omłotenie. Dla tych wynaleziono system podwójnych kopert, który to system uprzedzi odbiorcę, że w depeszy... i t. d.

Bardzo ładny sposób oszczędzania klienteli przykrych wzruszeń.

A może wkrótce myrzmy agencję, która przyjmie tylko wesołe wiadomości?

Prasa stołeczna o nowym rządzie. Gabinet ludzi wykształconych.

„Czytacie listę obecnego gabinetu, ma się na pierwszy rzut oka jedno uderzające wrażenie: jest to rząd ludzi z wykształceniem akademickim. Przy każdym nazwisku powtarza się z reguły: „szkoły średnie ukończone tam a tam, szkoły wyższe tam a tam”.

Przy kilku nazwiskach tytuł doktorski świadczy, że nowy minister doprowadził do stopnia akademickiego. Inne życiorysy mówią o ukończonej politechnice lwowskiej lub szwajcarskiej, o szkole nauk politycznych w Paryżu, o akademii rolniczej w Halle, o uniwersytecie w Dorpacie i t. d. i t. d. Przejrzmy listy dotychczasowych gabinetów polskich, a spostrzeżemy, iż obecna jest wyjątkiem, który aż zastraszają. Jak da sobie Polska rady bez genialnych meżów stanu z dwiema klasami szkółki wiejskiej? Jak beda rządzić ci ludzie, zarażeni intelektualizmem, obciążeni balastem gimnazjalnym i uniwersyteckim, nie mający z pewnością zrozumienia dla zasad tak prostych, jak: „Bóg dał rece, żebv brać”.

albo: „Kto przy kościele służy, z kościoła żyje”, albo: „Jo poseł, to ja wszystko wiem”? Gdzież tu demokracja, gdzie równość obywatelska, skoro wykształcony chce przewodzić... komu innemu?

Smutne to w istocie, próbowałyśmy wskazać tyłu rządów woj-

skich, pokatno-pisarskich, genialno-dorobkiewiczowskich i samorodno-dyplomatycznych, że raz musiała przyjść jakaś odmiana. W teatrze polskim gra się obecnie „Lampe Aladyna”. Autor jej pan Wacław Grubiński, powinien mieć do tego rzadu osobistą urazę, za to, że nie stosuje się do jego tezy, według której najpożytejszym człowiekiem jest niedouk i leniuch. Prawda, że p. Grubiński dodał mu drobne zastrzeżenie: leń i niedouk musi być genialnym — lecz nielawoby znaleźć takiego nierobe, któryby nie uważał się za geniusza, przynajmniej w próżnowaniu. Podobieństwo jest i w tem, że bohater „Lampy Aladyna” przemienia żelazny klucz w szklę za pomocą własnej metody chemicznej. Otóż nasze, w duchu „Lampy Aladyna” tworzone gabinetu używały również klucza, partyjnego i usiłowały przemienić go na klucz do szczęśliwości powszechnej. Niezawsze udawało się ta operacja, natomiast klucz ten okazywał się w reku niektórych wplywowych finansistów kluczem do kasy państwowej i jako taki funkcjonował znakomicie. A jako cud iście aladynowy, udało się przemiana marki polskiej, dzięki niedouczonym spryciarzom w zwykły papier; rzeczywistość przeszła fantazję p. Grubińskiego.

General-cudotwórca.

„Gen. Haller objeżdża miasta amerykańskie, a pisma faszystowskie tak w Polsce, jak i w Ameryce (po polsku pisane) dziwnie opowiadają o tym pochodzie tryumfalnym „blekitnego generała” i o jego „genialności”. W rzeczywistości z tem „entuzjastycznym przyjęciem” w Ameryce sprawa ma się trochę inaczej, a co do osoby generała, to w cięły zachwyt wpadają tylko ci, co równocześnie pomniki stawiają... Niewiadom skłemu.

Oto co np. pisze „Przewodnik Katolicki”, wydawany w Ameryce: — Hallerze, Hallerze! wywalczyłeś wolność, niepodległość Polski przyłączyłeś (?) Włno i Śląsk, jako naturalną należność Polski, zjednoczyłeś (?) Kraków, Poznań, Warszawę w jedno ciało, Wiemy, żeś ty, Hallerze, dokonał tego „cudu nad Wisłą”, a więc dokonasz za oceanem drugiego cudu, którym będzie zaciśnięcie długowickowych węzłów Ameryki z Polską”.

„Przyłączył”, „zjednoczył”, „cudu nad Wisłą” dokonał ten jeden genialny Haller...

Inaczej o gen. Hallerze pisze „Dziennik Polski”, wychodzący w Detroit: „General Haller wstawiony dzielnością i temadram akcją antyżydowską w Polsce na równi z bezmyślną prawicą — tu znany był publicznie w prasie amerykańskiej oświadczać, że nigdy z żydami nie walczył i był ich przyjacielem w sejmie polskim. Skompromitowany nietolerancyjną walką z amerykańskiem słow, chrześc, młodzieży (Y. M. C. A.) w Polsce, jak o tem świadczyły jego własnoręczne listy, publikowane przed niespełna dwoma laty — w Cleveland, wypierał się wszystkiego i podnosił za-

świat”.

Oto wedle tego pisma gen. Haller, wyśiadając z okrętu w New Jorku, reporterem żydowskich gazet, odpowiadając na pytanie o „pogromach”, rzucił zdanie: „w Polsce jest więcej Hallerów” (!)

Nie odpiaraj kategorycznie zarzutów, gen. Józef Haller postąpił jak niegentleman, insynuując, że jakiś inny Haller ludność żydowską szykanował. W Cleveland gen. Haller ogłaszał się za przyjaciela żydów i instytucji amerykańskich, przeciw którym publicznie wystąpił w Polsce.

W Detroit, gen. J. Haller według sprawozdania „Rekordu Codziennego” oświadczył:

„Lecz nie zapomnijmy nigdy o tem, że z oucha, krwi i kości jesteśmy polakami. A i bogactw jesteśmy, bo mamy dwie, albo raczej trzy ojczyzny”.

Od trzech zaborów, do trzech ojczyzn.

Dla p. Hallera Polska, Ameryka, Francja, to trzy ojczyzny polaka. Dawniej jeszcze Austria była ojczyzną dla pana generała!

Na krawędzi dnia.

OBRAZ I.

Miejsce akcji: wysoki rząd.

Czas: piątek za rządów p. Witos.

Osoby: wysoki dostojnik i jego sekretarz.

Sekretarz: Pozwalam sobie przypomnieć ekscelencji, że jutro rocznica śmierci śp. Narutowicza. Czy zarządzić co?

Dostojnik: Co panu strzeżę, kłó do głowy?

Nic nie zarządzać. Co nas to obchodzi?

OBRAZ II.

Miejsce akcji: to samo.

Czas: sobota za misji premierowskiej p. Thugutta.

Osoby: te same.

Dostojnik: Panie sekretarzu, napiecinować muszę pańskie niedbalstwo. Dziś przypada rocznica śmierci śp. Narutowicza, a nie nie zarządzone. Wyrażnie panu wczoraj poleciłem.

Sekretarz: Ekscelencjo, mnie się zdawało.

Dostojnik: Niech się panu na drugi raz nie dzie. Nabożeństwo będzie jutro. Będzie na niem obecny. Niech mi pan przypomni.

OBRAZ III.

Miejsce akcji: to samo.

Czas: poniedziałek za wykluwającej się misji p. Władysława Grabskiego.

Osoby: te same.

Sekretarz: Ekscelencja pozwoli sobie przypomnieć.

Dostojnik: Co?

Sekretarz: Nabożeństwo, ekscelencja zamierzał wziąć udział.

Dostojnik: Co też pan znów wymyślił? Nabożeństwo może się odbyć, ale ja nie mam czasu. Pan mnie zastąpi.

Sekretarz: Dobrze, ekscelencjo.

J. L.

CO DZIEŃ NIESIE?

GRUDZIEŃ

21

Piątek

Dziś: Tomasz Ap.
Intro: Herona M.
Wschód s. o g. 8.42
Zachód s. o g. 4.27
Wschód ks. 3.52 pp.
Zachód ks. 6.19 r.
Długość dnia g. 7.54
Ubyło dnia 9 g. 00 m.

Biblioteka Publiczna, ul. Andrzeja 14. Otwarta w dni powszednie od godz. 3 — 9 wiecz.
Czytelnia „Tow. przyjaciół Francji”, ul. Piotrkowska 103, otwarta codziennie z wyjątkiem piątków od 6—8 wiecz.

Sala witrażowa „Casino”. Wystawa Młodej Sztuki. Salon K. i E. Twardy.
Wystawa Kilimów Wschodnich Piotrkowska 113.

Dzisiejsze widowiska.

Teatr Miejski: „Proces rozwodowy”.
Teatr Popularny: „Złodziejka”.
Cyrk Ciniselli. Dziś program nr. 7.
„Grand-Rino”: „Cyrk życia”.
„Casino”: „Szeik”.
„Odeon”: „Harold Lloyd”.
„Luna”: „Igraszka wyrafinowanej kobiety”.
„Nowości”: „Indyjski sztylet”, p. t. „Potwory morza i dżungli” VI seria (ostatnia).
Kino wspólnie pracown. państw. „Dolina Szajcarska”. „Wir życia”.

CASINO
Dziś
Fascynujący dramat amerykański w 8 m. aktach, który był grany w New-Yorku jednocześnie w 6 kinach przez 5 miesięcy z rzędu od 9-iej rano do 12-iej w nocy bez przerwy.
SZEIK
Romanieczna przygoda paryżanki.

ODEON
Dziś
9 aktów w jednym programie.
Śmiech i Humor!
Harold Lloyd
najlepszy komik Ameryki popularnie znany pod przezwiskiem On.

W TRAMWAJU.

Jedynka. Tramwał kiwa się to w tę, to w ową stronę. Ścisł, duszno, szczególnie zapachy, pochodzące ze Starówki. W kacie siedzi dwóch zażwanych panów w pysznych futrach, o minach finansowych geniuszów.
— Pan widzi — rzecze jeden z nich, trącąc sasiada w łokieć. — Ten tam wyciąga jakiejś pani z torebki pulares.
— Ej, daj pan spokój. My też od małego zaczynaliśmy.

NAIŹNA.

On. Pani, czy otrzymamy zgodę mamy na nasze małżeństwo?
Ona. Ależ tak. Mama powiedziała mi: weź go tymczasem, nim się nawinie coś lepszego.

SPRYCIARZ.

On. Estello, pójdziesz do teatru w tym starym kapeluszu?
Ona. Nie, nie pójdę!
On. Byłem powinien tego, wziąć jeden bilet!

FLIRT.

Stary galant. A nie boi się panienka wilków?
Młodziutka. Bah, stare wilki nie mają już zębów!

Odpowiedzi redakcji.

L. D. Zamieściłszy. Przy sposobności prosimy o polecanie się do nas.

Ostatnie dni przedświąteczne.
W sklepach i składach pustki.

Pomimo, że już tylko dwa dni dzieli nas od świąt, w handlu panuje w dalszym ciągu całkowity zastój.

Kupcy skarżą się, że nie sprzedali ani czwartej części nagromadzonych na święta zapasów.

Ludność, której zarobki stopniały, wskutek gwałtownego spadku marki polskiej w ostatnich dniach nie jest w możności płacić żądanych cen, nadmiernie przedświątecznymi wysrubowanymi.

Reszty dokonało osłabienie na rynku dewiz, które do pewnego stopnia usuwa niebezpieczeństwo nagłych gwałtownych skoków drożyzny.

Podrożenie artykułów pierwszej potrzeby, a zwłaszcza żywności, niewspółmiernie do wykazanego wskaźnika za pierwszą połowę miesiąca, tak uszczupliło do chody, że każdy, kto miał jakiś fundusik, odłożył na święta, uruchamia go na uzupełnienie do-

chodów, by pokryć wydatki kuchenne.

W branży galanterijnej i zabawkarskiej daje się zauważyć nawet pewny spadek cen, by zachęcić ludność do kupna. Jest to jednak musztarda po obiedzie i poważniejszych rezultatów nie przyniesie.

Nawet choinki mało znajdują na bywców, gdyż ceny ich również nadmiernie wysrubowano. Ponadto kto kupuje choinkę, musi kupić i coś na choinkę. Ozdoby zaś choinkowe, pochodzące z zagranicy i z tamtąd szmuglowane do nas są tak fantastycznie drogie, że kto może, unika kupna.

To też dowód choinek do miasta spadł w obecnym roku do minimum.

Święta zatem nie zapowiadają się zbyt wesoło, ani dla tych, którzy mieli zamiar kupować, ani dla tych, którzy chcieli sprzedawać.

Przedłużenie pracy w handlu przedświątecznym.

Z okazji zwiększonego ruchu handlowego w okresie przedświątecznym, minister pracy i opieki społecznej, zezwolił wyjątkowo na przedłużenie pracy w handlu o dwie godziny. Na mocy tego rozporządzenia komisariat rządowy wydał zawiadomienie, że w dniach

20, 21 i 22 grudnia sklepy wszystkich galezi handlu mogą być otwarte do godz. 9 wieczór. Policja otrzymała odpowiednie wskazówki, aby nie stawiała przeszkód w tych czynnościach. Zarządzenie to dotyczy całego obszaru Rzeczypospolitej.

Jak można tanio zdobyć zapasy świąteczne

WÓDKI I LIKIERY.

Alfred Hoffman, zam. przy ul. Aleksandrowskiej nr. 47 dokonał kradzieży w handlu win przy ul. Cegielińskiej nr. 28, araku, koniaku i likierów na sumę 25 milionów marek.

— Ze składu win i wódek Stanisława Zaborowskiego (ul. Napierkowskiego nr. 49) nieznani sprawcy skradli większą ilość wódek i likierów.

APROWIZACJA I BIELIZNA.

Zygmunt Barański, zam. przy ul. Młynarskiej nr. 68 zameldował iż nieznani sprawcy, zapomocą wybicia oworu w dachu, skradli mu ze strychu różną bieliznę, 20 kilo słoniny, 20 kilo maki, wszystko ko wartości 25 milionów marek.

CYKORIA I OLEJ.

Taubie-Lai Rosental, zam. przy ul. Krótkiej nr. 13 nocy ubiegłej nieznani złościny skradli ze skle-

pu zapomocą podrobionych kluczy: 16 kilo cykorii, 30 kilo tłuszczu, 4 kilo oleju, 4 kilo smalcu, kilo herbaty i 30 kajetów.

ZŁOTO NA PODAREK GWIAZD KOWY.

Z kooperatywy „Poslew” przy ul. Franciszkańskiej nr. 38 skradziono różnych artykułów spożywczych i gotówką 4 miliony mk., 5 rubli złotych, czarne buciki — wszystko łącznej wartości 200 milionów marek.

DRÓB I SCHAB.

Na posesji nr. 68 przy ul. Rokickiej za pomocą oderwania kłódki od komórek nieznani złościny skradli następujące rzeczy: 1) Marji Klecie — 3 kury, 2 korce węgla i 2 króliki; 2) — Władysławie Galancik — 2 kury; 3) Marji Domańskiej — 10 funtów wiewiórki, 6 kur.

Historja niejednej choinki.

Łzami podlewana, wyrosła na grobie. Jarząca światłem, błyszczą ozdobami radością będzie dziecka.

Wł. Woźniak, sekretarz emmentarza katolickiego, przy ul. Ogrodowej nr. 39, zameldował policji o kradzieży z tegoż emmentarza 40 sztuk choinek, wartości 25 milionów marek.

Zapały, które wytrzymują próbę mrozu.

Doprowadzono do IV kom. p. p. Alfonsa Poszepczyńskiego, zam. przy ul. Ogrodowej nr. 28 i Wacława Smolarka, zam. przy ul. Ogrodowej nr. 26, którzy w bramie

domu nr. 47 przy ul. Konstancji Nowoskiej usiłowali zgwałcić 18-letnią Walerję Tutak, zamieszkałą w tymże domu.

Po smacznej kolacji dobrze się śpi.

Pieniądze nie są konieczne potrzebne.

Do restauracji „Louvre” przy ul. Piotrkowskiej nr. 86 przyszło 2 osobników: Józef Krakowiak, zam. przy ul. Żelaznej nr. 12 i Marcin Kowalski, zam. przy ul. Kilińskiego nr. 111, zjedli kolację na sumę 8 milionów marek, a następ-

nie w łóżu gdzie siedzieli, postanowili się przenocować. Gdy przyszedł kelner z żądaniem wyrównania rachunku, okazało się, że żaden pieniędzy nie posiada, wobec czego odprowadzono ich do komisariatu.

Jedzie, jedzie pogotowie...

Nieostrożny wóz.

Przy ul. Konstancji Nowoskiej 72 został przejechany wozem 40-letni tragarz Michał Góbołczyk, zamieszkały przy ul. Nowo-Cegielińskiej 40.

Pierwszej pomocy udzieliło przejechanemu pogotowie ratunkowe, przyczem lekarz skonstatował złamanie lewej nogi, oraz potłuczenie całego ciała.

Ostatni grosz na truciznę.

Łódź nie ma pracy dla wszystkich.

I na wsi życie nie jest dla wszystkich rajem. Obok zagrody pasko-piasta, gdzie dobrobyt wyradza się w zbytek, niejedna stoi chatka, gdzie — podobnie jak w mieście — niema nieraz co do garnka wiozwać.

Nedza ze wsi emigruje do miast, spodziewając się znaleźć tam zniesienie warunków egzystencji i trwały zarobek. Największą ilość takich emigrantów ściągają ośrodki przemysłowe, między którymi Łódź pierwsze zajmuje miejsce. Napływowy element wiejski proletaryzuje się tutaj przedko. Mezczyźni szukają pracy i albo ją znajdują, albo powiększają liczbę

bezrobotnych i stałych klientów zbiorni miejskiej z czasem lokatorów wież — dziewczyny idą na służbę, lub na ulicę.

Inny był los 23-letniej Eugonii Malborskiej, przybyłej z jednej z okolicznych wsi do Łodzi w poszukiwaniu pracy.

Nie miała szczęścia. Kilka dni z rzędu tułała się po ulicach, nocując w bramach lub na stacjach kolejowych. Wycieńczona i zniechęcona, za ostatnie grosze kupiła bułeczkę esencji octowej i wpiła ją w bramie domu przy ul. Przejazd 12.

Chwilowy przytulek znalazła w zbiorni miejskiej.

Niefortunni automobilisci.

Artur Filipowski, zamieszkały przy ul. Piotrkowskiej nr. 90 i Juliusz Małc (Narutowicza 56) wybrali się własnym nowym samochodem na spacer do parku Poniańskiego.

Jak zwykle w alei głównej bawiła się gromada dzieci. Rzucony przez nieostrożność w zabawie kamik uderzył w śladzą szybę samochodu.

Oburzeni automobilisci wysiedli i poczęli sprawować sądy nad

chłopcami, posługując się przytem laskami i pięściami.

Zajście obserwowali robotnicy z sąsiednich fabryk i odpowiednio zareagowali, ucząc ze swej strony automobilistów, że posiadanie samochodu nie daje jeszcze prawa do wybrków i znecania się nad dziećmi.

Zajście zlikwidowała policja, spisując protokół za niedozwolone harce samochodowe w parku.

Człowiek z blaszanym pęcherzem.

Posterunkowy III kom. p. p. zatrzymał na ulicy Łagiewnickiej Izraela Zylbermana, zam. przy ul. Zgierskiej nr. 38, który przenoślił

w blaszanym pęcherzu spirytus. W sprawie tej spisano protokół, który wraz z spirytusem przesła-

Humanitarna gazownia.

W mieszkaniu własnym przy ul. Nowomiejskiej 19 ulegli nocy ubiegłej zaczadzeniu gazem świetlnym podczas snu, wskutek niezamknięcia maszyny gazowej: 1) 46-letnia Giula Cukierman, żona

szewca oraz 19-letnia Estera i 17-letnia Hinda Cukierman, jej córki. Zatrucie okazało się niezbyt groźnym, tak że wszystkie trzy ofiary mogły po udzieleniu im pomocy pozostać na miejscu.

Do zbiorni na gwiazdkę.

Przed domem nr. 11 przy ulicy Piotrkowskiej upadła na bruk głodu i wycieńczenia 66-letnia sta-

ruszka Julianna Fiałkowska, bezdomna i bez zajęcia.

Poród w bramie.

Opuszczona przez narzeczonego i wypędzona ze służby 21-letnia Luba Głajt zasłała w bramie domu nr. 2 przy placu Wolności. Pogotowie ratunkowe zjawilo

się już po wszystkim. Nieszczęśliwa dziewczyna porodziła. Wraz z dzieckiem odwieziono ją do przytułku położniczego.

Nieznani krzewiciele oświaty.

Nocy ubiegłej ze szkoły powszechnej ul. Szosa Pabjanicka nr. 119, nieznani sprawcy za pomocą

podrobionego klucza skradli materiałów piśmiennych na sumę 25 milionów marek.

Smutne skutki biesiady.

Chaimowi Joskiewiczowi, zam. przy ul. Południowej nr. 2, skradziono z mieszkania różnych rzeczy na sumę 80 milionów. O kra-

dzież powyższą podejrzana jest Janina Biesiada, była służąca u Joskiewicza.

FELJETON.

WALUTA KOLEJOWA.

Z dniem 1 stycznia wchodzi w życie rozporządzenie o stałych opłatach kolejowych.

Bilety określone będą miały cenę w „jednostkach kolejowych”, których kurs ustalony będzie przez ministerstwo skarbu i podawany do wiadomości urzędów kolejowych.

Obecnie porządki na kolejach ulegną radykalnej zmianie. Projekt nowego regulaminu, który zacznie obowiązywać od 1 stycznia, przedstawia się w sposób następujący:

Art. 1. Pociągi osobowe odchodzą z poszczególnych stacji węzłowych dopiero po godzinie 2 w południe, gdy kasjerzy otrzymają ostatni kurs jednostki kolejowej. Do tej godziny biletów się nie sprzedaje.

Art. 2. Do kursu urzędowego odlicza się 20 procent ryzyka walutowego.

Art. 3. Każdy kasjer otrzymuje do pomocy kalkulatora gieldowego. Pierwszeństwo należy dać kandydatom, którzy wykazali się świadectwem z prowadzeniem dokonywanych operacji walutowych.

Art. 4. Do kursu urzędowego odlicza należy ograniczyć sprzedaż biletów i zredukować pociąg.

Art. 5. Przy frachtach obowiązuje kurs w chwili ostatniej ekspedycji. Jeżeli między kursem dnia nadania ładunku, a kursem w dniu ekspedycji będzie różnica, należy dodatkowo od nadawcy tę różnicę.

Art. 6. W razie przewidywanego spadku walut można sprzedawać bilety na kilka dni naprzód.

Art. 7. Każda stacja otrzymuje komisarza dewizowego i tylu kontrolerów dewizowych, ile jest kas w obrębie stacji.

Art. 8. W każdym pociągu oprócz odpowiedzialnej liczby konduktorów i kontrolerów winien znajdować się kontroler dewizowy dla kalkulacji dopłat i kar.

Art. 9. Kurs oficjalny jednostki kolejowej wymalowany ma być po obu stronach i na froncie parowozu. Wielkość liter zależna od kursu, każda setka równa się centymetrowi.

Art. 10. Wydatki, związane z przeprowadzeniem w życie niniejszego regulaminu należy księgować w rubryce „zyski z waloryzacji”. Nie mogą one w żadnym wypadku powiększać obecnego deficytu ponad dotychczas 50 procent.

124 dni na bezludnej pustyni.

Przygody współczesnego Robinsona.

Tegoroczne katastrofy geologiczne nie przyszyły zupełnie niespodzianie, poprzedziły je wieści, z głębi ziemi, donoszące świadomym rzeczy, iż w głębi ziemskiej skorupy dzieją się jakoweś wielkie przemiany, które mogą zmieniły obraz kuli ziemskiej.

I tak zauważono, na oceanie Indyjskim od dwóch lat szereg nowopowstałych wysp wulkanicznych, które nagle wynurzyły się z pod wodnej powierzchni po rozbiu kanadyjskiego statku rybackiego „Mea”. Rybak nazwiskiem Piotr Coox dostał się wśród okoliczności przypominających żywą przygodę Robinsona na jedną z takich wysp.

Przywiązany do okretowej deski i odziany w pas ratunkowy po dwudniowym borykaniu się z morskim żywiołem został wyrzucony na ląd nowo powstałej wyspy.

I od tej chwili zaczyna się 124-dniowy pobyt Cooxa na pustyni. Pustynia bowiem była samotna wyspa licząca 7 tysięcy kroków długości i około 4 tysiące szerokości.

Widocznie wyspa powstała niedawno, gdyż tu i ówdzie ledwie poczęła się zielenić dopiero trawa, a drzewo żadne jeszcze nie urosło.

Omdlały z trudów i głodu Coox znalazł się na tej wulkanicznej Saharze wśród morza, absolutnie sam, bez jedzenia, wody, ognia i roślinności.

Żaden czworonóg nie znajdował się na wyspie, czasami tylko nadciągało stado mew lub innych wodnych ptaków, zresztą nie było żadnego stworzenia.

Dzielny rybak nie dał jednak

za wygraną i postanowił walczyć z trudnościami aż do zwycięstwa.

Za pożywienie służyły mu kraby i drobne rybki, które zatrzymywały się u brzegu, wpływając do szczelin wulkanicznego lądu.

Z resztek swego odzienia sporządził rodzaj wierzby i w ten sposób łowił rybki i kraby.

Najgorszą jednak było rzeczą, iż obchodzić się musiał bez ognia. Przypominał sobie jednak, że japończycy jedzą rybki na surowo i to mu dawało pociechę.

Najszczęśliwszym wypadkiem trzechmiesięcznego pobytu był dzień, w którym fala wyrzuciła na brzeg 14 orzechów kokosowych.

Był to specjalny Coox, zalewa się łzami, opowiadając o opiece opatrności, która mu zesała taki poczesunek i to w chwili, gdy myślał, że umrze z pragnienia, albowiem wysechł już zbiornik z wody deszczowej i kanadyjskiemu rybakowi groziła niechybna śmierć.

Mleko z kokosów zdało mu się wtedy nektarem, wobec którego nikt nie wszedłby rozkosze podniebienia.

Coox z głazów sporządził sobie grocie mieszkalne, które go zabezpieczały od tropikalnych upałów.

Na szczycie swej grotki wywiesił koszyk, jako sygnał dla zbliżających się okretów.

Jakoż po 124 dniach tej przynęty sowej niewoli dojrzał go japoński okret, płynący do Bombaju.

Znaki i wołania nieszcześliwego rozbiłki spowodowały wysłanie łodzi ratunkowej i ocalenie z niewoli.

Miła i pożyteczna Niewyświetlony dramat filmowy.

inowacja.

Paryskie targi małżeńskie.

W naszym praktycznym społeczeństwie, gdy przemysł przenika w najdalsze zakątki, dziwnem się może wydawać, że tak ważna dziedzina życia ludzkiego, jak małżeństwo znajduje się w takim opuszczeniu. Bo czyż tak niesłychanie doniosłe sprawy powinny być puszczane na wolę losu?

Czy ktoś z nas kiedyś już kiedyś lekkomyślnie krawa? Czy nie wybierał go starannie, czy nie do pytywał się o najlepsze źródła? Dlaczego więc wybór żony pozostawiamy przypadkowi, lub co jest jeszcze o wiele gorsze, jakiejś starej ciocie?

Bierzmy przykład z praktycznych paryżan.

Tam uczyniono już pierwszy krok, by sprawę tę pchnąć na właściwe nowoczesne i praktyczne tory. Otóż „Societe amicale de la jeunesse parisienne” urządziła pierwsze targi małżeńskie. Uroczystość ta odbyła się oczywiście w sali balowej.

Powodzenie tej nowej instytucji było wprost niesłychane.

Stawili się liczne zastępy młodzieży. Młodzi panowie wystąpili samodzielnie no męsku, a panie z mamusiami lub ciociami.

Było tam także sporo starych kawalerów i panien w pewnym wieku, które tuły się po kątach. Kto zamierzał znaleźć tu męża lub żonę, temu przypisano numer. Pod numerem tym zapisany był w specjalnym rejestrze, gdzie podawał także pochodzenie swe, stan majątkowy, zalety lub wady charakteru. Zamiast romantycznych promieni księżycy przyswiecał zebrany żyrandol elektryczny, a jazz-band zamieniał pienia słowicze.

Matki i opiekunki usadowiły się wzdłuż ścian i patrzyły z podziwem na swe potomstwo. Oto młoda panienka nr. 15 upatrzyła sobie bajecznie tańczącego młodzieńca nr. 8. Podziwiła się do rejestru i tam czyta pod rubryką nr. 8: Edward R., lat 24, urzędnik bankowy. Jest wesoły, ale posiada czułe serce i tęskni za domowym szczęściem. Pracowity i oszczędny, ma przed sobą przyszłość.

Jak to brzmi!

To właśnie są zalety, o których zawsze marzył nr. 15!

Jestem zupełnie pewny, że z nr. nr. 15 i 8 będzie dobrana para!

W Paryżu rozpoczął się przed sądem poprawczy proces Andrzeja Himmel'a, oskarżonego o oszustwo i fałszerstwo. W chwili zakończenia wojny, Himmel, młody dziennik 20-letni syn krawca, był skromnym, przykrym urzędnikiem bankowym. To jednak mu nie wystarczyło. Postanowił zrobić szybko fortunę. Terenem operacji miał być kinematograf. Himmel powziął zamiar zjednoczenia w jeden trust wszystkich wytwórni filmowych w Ameryce i Francji.

POCZĄTKI AFERY.

W r. 1919 zakłada „Francuskie tow. kinematograficzne”, wstępuje do zakładowego się innego przedsiębiorstwa filmowego pod nazwą „Paryż — Rzym — Nowy Jork”, stara się o kupno francuskiej „Eclipse”. Wyrabia sobie wstęp do ministerstwa sztuk pięknych i uzyskuje pomoc w utworzeniu „komitetu sztuk i umiejętności”, do którego wprowadza wpływowe osobistości polityczne. Za ich protekcją dyrekcja paryskiej akademii sztuk pięknych wydaje mu list polecający do francuskiego komisarza w Nowym Jorku.

Przez cały ten czas żyje z kredytu licznych przyjaciół, wierzących w jego gwiazdę.

W r. 1920 Himmel jest w Ameryce. W Nowym Jorku przy pomocy frankofili amerykańskich zakłada „franko-amerykańskie stowarzyszenie kinematograficzne”.

„OLBRZYMA AFERA”.

Nowe stowarzyszenie ma opierać kapitałem zakładowym 100 milionów dolarów, podzielonym na stu dolarowe akcje.

Himmel zostaje mianowany „generalnym menadżerem” z pensją 250 000 franków rocznie, nie licząc udziału w zyskach. Założyciele amerykańscy spodziewali się po swym towarzystwie obfitych zysków, ale nawet na stosunki amerykańskie afery wydawała się zbyt „amerykańska”, tak, że kapitały nie napływały.

Himmel został wyprawiony do Francji celem ulokowania tam większej części akcji.

Hohenzollerny piszą. — Romanowowie piszą.

Księżna Cecylja, żona królowej, napisała zbiorek szkiców, który ukáže się wkrótce w druku. Płodność literacka Hohenzollernów wzrosła niebywale w ostatnich latach.

Dymisjonowani królowie, księża i

Ale tu przyleciało go wrogo. Wytwórnie filmowe, zwłaszcza niemieckie, obawiając się o swój byt, rozpoczęły przeciw niemu gwałtowną kampanię w prasie.

JAK SIE PODRABIA DOKUMENTY?

Wobec tego Himmel znalazł się w przymusie położeniu finansowemu. Celem wyjścia z niego chwycił się jednak sposobów, które go zawiodły przed krótki sadowe.

Celem zyskania zaufania dla ewentualnych subskrypcyj francuskich, sfalszował listy rad nadzorczy towarzystwa z Nowego Jorku, gwarantujące pokrycie akcji oraz kablagram, ustanawiający datę wypłaty.

BOGATY AKCJONARIUSZ.

Przy pomocy tych fałszywych dokumentów zyskał akcjonariusz, a w ich liczbie nielaki p. Rivory, który dla siebie i swego przyjaciela wziął przyszłych akcji za 2 i pół miliona franków, składając te sumy w jednym z banków paryskich.

Kiedy jednak w zapowiedzianym przez Himmel'a terminie wypłata nie nastąpiła, Rivory udał się za Himmel'em do Ameryki, gdyż się dowiedział, że towarzystwo jeszcze nie funkcjonuje, a jego pieniądze poszły dopiero na koszty jego organizowania.

Wobec tego Rivory wniósł skargę przeciw Himmel'owi.

NA PEŁNEM MORZU.

Wskutek tej skargi Himmel został aresztowany na pełnym morzu, na statku wiozącym go do Francji.

PRZED SADEM.

Himmel, odpowiadający z wolnej stopy, stanął przed sądem zwykłym (poprawczym). Prokurator przysłał, że sumy, które po brał na swój osobisty użytek, nie pokrywały usług, jakie oddał franko-amerykańskiemu towarzystwu kinematograficznemu.

Ponieważ niektóre z przestępstw, które mu zarzucają, kwalifikują się przed sąd przysięgłych, przeto rozprawę odłożono do połowy stycznia.

Czworaki.

Pani Mathew z Grangeotown (Anglia) powiła szczęśliwie czworaki: dwie dziewczyny i dwóch chłopców. Dzieci są silne, wyjątkowo żywe i doskonale rozwijają się.

nie. Pani Mathew czuje się zdrowa i wzbudza podziw lekarzy angielskich, którzy zjeżdżają się ze wszystkich stron dla zbadania tego fenomenu.

ANTHONY HOPE.

Nowe życie.

— Nie utrzymamy się dłużej, niż dziesięć minut — rzekł pomocnik kapitana.

A młody pasażer, który siedział tuż obok na zwiniętych linach, rzekł na to spokojnie:

— Jestem z tego zupełnie zadowolony!

Oficer spojrzał na niego ze zdumieniem, a on uśmieł i spokojnie rozglądał się dokoła.

Cóż ten człowiek w uniformie mógł wiedzieć? Co mógł wiedzieć ci wszyscy ludzie, którzy motali się po pokładzie? Jedni sadowali żony i dzieci w łodziach, inni jak szaleni pracowali przy pompach, a jeszcze inni płakali, wyrzekali lub kleli.

Łodzie były przeładowane ludźmi. Poczęto rozdáwać pasy ratunkowe. Ale że nie starczyło ich, więc o ostatnie kilka sztuk losowano. A ci, którzy nie otrzymali, poczęli wyrwać z pokładu deski i belki, by na nich utrzymać się na powierzchni wody. Nieszczęśliwi nie zdawali sobie sprawy z tego, że było to tylko słomki, za które tak rozpaczliwie chwytali.

Młody człowiek, który wyka-

zał tak niezwykle uczucia patrzył na to wszystko z dziwnym i smutnym uśmiechem. Oto nadchodziły ostatnie dziesięć minut jego życia. Wydały mu się one zbyt długie. Jeszcze jeden papieros, a może dwa... to wszystko! Myślał przeto z rozpaczliwą gorączką w sercu:

— To dziwne, ile człowiek może spowodować bólu i wstydu, nie mając zupełnie złych zamiarów. Jakże nieszczęśliwie skończyło się wszystko co on rozpoczynał. W gruncie rzeczy był przecież człowiekiem o miłym sercu, a jednak on to sprawił, że na rodzinę spadło tyle wstydu i wycisnął tyle łez z oczu matki i siostr. Ojciec nie chciał się zupełnie pokazywać na ulicy i rozpaczał jak kobieta.

No i rodzina urządziła, że najlepiej będzie, gdy wyemigruje. I oto ze stoma funtami w kieszeni (był to dar nienawidzonego wroga, który go zgubił) jechał na poszukiwanie nowego życia.

Na wspomnienie chwili, gdy rodzina zmusiła go do przyjęcia tego daru, krew uderzyła mu do głowy, ślepnął do kieszeni, porwał portfel z pieniędzmi i z całej siły rzucił go do wody.

— Niechby to się już skończyło — pomyślał z rozpaczą, bo oto otwierały się przed nim drzwi, których ze względu na rodzinę

nie ośmielał się dotychczas przeznosić.

Katastrofa, której ulegał w tej chwili okret, to była łaska nieba. Zgłębienie i oni tam w domu popłazka, a koniec końców pociesza się.

Nowe życie! Cóż to za czyste słowa! Czemże by się stało to nowe życie? Zapewne nie byłoby lepsze od poprzedniego, a może również pełne wstydu i gorczy. Dlatego błogosławił parowiec, który w ciemnościach ześliznął się z wiozącym go statkiem i samotnie uciekł, by nie być zmuszonym do niesienia pomocy.

Zapewne minęło już z jakie pięć minut.

Kapitan stanął na mostku, a dokoła niego grupowali się marynarze i reszta pasażerów. Wszyscy gotowi byli do skoku w morze i czekał tylko na znak kapitana. Niektórzy modlili się, inni zaś stali nieruchomo, jakby nagrażeni w letargu. Byli i tacy, którzy ciągle jeszcze mówili o zderzeniu z tajemniczym parowcem i to takim tonem, jakim wczoraj zapewne rozmawiali o pogodzie. Wszyscy patrzyli w twarz kapitana.

Smutny młodzieniec spojrzał w morze. Woda dochodziła już prawie do pokładu.

— Pójdę odrazu na dno — pomyślał — podobno zupełnie bez bólu. Bez bólu? Kto to może wiedzieć? Nikt jeszcze przecież nie

wrócił stamtąd i nie opisał nam swych przeżyć!

W tej chwili na pokładzie uczynił się ruch. Kapitan coś krzyczał, czego nie można było zrozumieć, a potem podniósł ręce i skończył do wody. Za nim załoga, palace i pasażerowie.

Młody człowiek, wiedziony dziwnym instynktem, rzucił się na jego oburwie, było to zupełnie instynktowne i uśmiechnął się. Potem stanął na balustradzie i głową na dół runął do wody. Gdy wrócił na powierzchnię, poczuł ku swemu zdziwieniu, że jego ramiona i nogi energicznie pracują. Działo się to zupełnie bez jego woli, zupełnie nieświadomie. Członek jego walczył z wodą, tak jak je kiedyś nauczono i nie pytał go zupełnie o pozwolenie. Ze zdziwieniem spostrzegł, że siły jego, jakby wzrosły.

Wiedział oczywiście i zdawał sobie dokładnie z tego sprawy, że przedłużanie tej walki było szaleństwem. Odbył był wcześniej pomyślał o tem, to byłby pozostał na statku i zatonąłby wraz z nim.

W tej chwili kilka innych głów wychyliło się z wody. Jakis człowiek tuż obok krzyczał przeraźliwie i poszedł z powrotem na dno.

I on pragnąłby zginać, ale ciało jego wszystkich siłami sprzeciwiało się temu.

Cóż miał uczynić?

Każdy nerw w nim krzyczał: Żyć! Walczyć! Wyjść zwycięsko z tej walki! Żyć za wszelką cenę!!

Koło niego kołysała się belka, oderwana z okretu, a u jednego jej końca uczepiony był chłopak okretowy.

Chłopak, widząc jego gest, zmierzający do pochwycenia belki, krzyknął z rozpaczą w głosie:

— Niech pan puści, belka nie uniesie nas obydwóch!!

Ale on z całym rozmachem skończył na belce, a chłopak ze zduszonym krzykiem runął w wodę. Nie wrócił już na powierzchnię.

Po kilku godzinach jakiś statek zabrał uczonego u belki młodego człowieka.

Ody po długim omdleniu wrócił do przytomności, podał fałszywe nazwisko.

Bo pragnął rozpocząć nowe życie!

To co pozostało za nim, zniknęło na zawsze!

Defraudacja, tzn. rodziców, rozpacz siostr — wszystko znikło, o wszystkim zapomniał już, pragnął żyć!

Nie pamiętał już o zamożnym małym chłopcu okretowym...

Tylko żyć! Za wszelką cenę...

(Tłumaczyła Et.).

Redaktor i wydawca Marcell Sachs.

W drukarni „Głosu Polskiego” Piotrkowska 66.

Redaktor odpowiedzialny Władysław Magalski.